

GOŃCIEC

TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia 24 Lutego
8 Marca 1877 r.

№ 10.



Fotodruk J. Dutkiewicza.

Rapacki.

RAPACKI.

Zanim Rapacki przyjechał do Warszawy, aby wstąpić w stałe szeregi tutejszej sceny, już go poprzedził rozgłos, naznaczający mu pierwszorzędne stanowisko wśród artystów dramatycznych. Rozgłos ten był bardziej jeszcze znaczący, gdy podawał do wiadomości wszem wobec, iż Rapacki grywa role tragiczne z powodzeniem, które wysoko sięga ponad skalę popularności.

Rozgłosna sława, to wielki skarb dla artysty, ale też i wielki niekiedy ciężar. Może winny temu zbyt jednostronne nadzieje, ale Rapackiemu występy warszawskie w rolach dramatycznych nie przyniosły ani jednego laurówego listka, chociaż przyznać się godzi, że i w tym średnim powodzeniu publiczność mogła jasno dopatrzeć jego artystycznych zalet, wysokich i istotnie pierwszorzędnych.

Im więcej wpatrywaliśmy się w grę artysty, tym te zalety występowały jaśniej — tym też i braki uwydatniały się widoczniej. I dzisiaj niema zapewne człowieka, obeznanego z naturą sztuki dramatycznej, któryby nie odgadł, w czym leży siła talentu Rapackiego, a w czym jego słabość. Przy dokładnym też rozpatrzeniu natury tego talentu jakkolwiek pierwszorzędne stanowisko artysty bynajmniej nie szwankuje, to wymagania publiki nie są co do niego tak bardzo wszechstronne, ale są słuszniejsze i sprawiedliwsze.

Rapacki tedy nie celuje w rolach seryo dramatycznych, ale celuje bezwątpienia w rolach charakterystycznych. Nie posiada on tej artystycznej twórczości, która cały obszar roli umie wypełnić tchnieniem zapału i siły wewnętrznej, ale czuje niepospolicie formę, czuje warunki jej najszczegółowsze, umie patrzeć i z prawdą odtwarzać to, co stanowi plastykę sztuki dramatycznej.

Dlatego to może jego *Skąpiec*, miniaturowo wykonany w najsubtelniejszych odcieniach formy, całością swęj postaci budził pewien niepokój — bo rozdrobnił się na mistrzowskie cząsteczki wybornęj charakterystyki, a w syntetyczną jedność się nie skryształizował.

Rapacki — powtarzamy — umie patrzeć i naturę odtwarzać. Pod tym względem porównalibyśmy go do żywej fotografii typów. Każdy szczegół formy ma u niego fundament w realnym byciu, z kąd płynie realizm w grze jego, ów realizm który wylacza do pewnego stopnia samodzielną twórczość, a mimo to nadaje postaciom niezrównaną ekspresję i dosadne rysy niezamąconęj prawdy.

Nie chcemy tu wymieniać owych postaci, tak różnych między sobą, a tak podobnych przez wspólny pierwiastek realizmu, z jakim do życia przez Rapackiego powołaniami zostały. Pyszna to galeria typów, naszkicowanych śmiało, a wypełnionych barwami i cieniami tak subtelnie, iż wykończenie ich formy częściej przechodzi granice możliwości, aniżeli ich nie dosięga. Rapacki bowiem, biorąc do gry daną postać, wypełnia ją pomysłami własnymi, nie poprzestając na autorskich informacjach. Czasem drobniutki na pozór szczegół, o którym się autorowi nie zamarzyło nawet, staje się w grze artysty jednym więcej, ale zasadniczym rysem, osiagającym ekspresję formy mistrzowską. Pod tym względem Rapacki bywa wynalazczym przedziwnie. Jego Pokock w *Pojedyńku szlacheckim* dowodzi najdosadniej, co może taka wynalazczość, taka zabiegliwość o drobnostki... bez których doskonała charakterystyka ostać się nie może. Dowodzi także, iż w sztuce niema postaci trzecioplanowych, jeżeli pierwszoplanowa plastyka nada im dosadność rysów właściwą, co jednak, odnośnie do warunków perspektywicznych sztuki danej często w błąd się zamienia.

Rapacki czynników dla gry swojej szuka w realnej prawdzie, w odtwarzaniu jej objawów, w gestykulacji, w głosie, w perspektywnym skracaniu lub wydłużaniu własnej postaci, w chodzie, spojrzeniach... ale najmniej — lub nigdy może — w uczuciu. Gra jego nosi też wszystkie cechy rozumu artystycznego... cechy skutecznej badawczości, która mu pozwala osiągać efekta bardzo liczne, ale i bardzo drobnostkowe. Przykuwa ona do siebie całą uwagę widza, każe się rozpatrywać w szczegółach — lecz

całością wrażenia nie wywołuje. Żar wewnętrznego zapału z tej gry po mistrzowsku wykończonęj nie wieje na tłumy, bo go w niej niema... Nie jest ona ani świetną, ani zachwycającą — nie unosi, nie porywa, nie rozgrzewa nawet — lecz każe siebie podziwiać i zniewala przez wirtuozyzm mistrza, który działa wprawdzie nachłodno, lecz zarazem i napewno.

Pisząc o Rapackim, jako o artyście dramatycznym, godziłoby się oznaczyć i jego stanowisko, jako dramatycznego pisarza... Godziłoby się — a jednak tego nie uczynimy. Nie uczynimy tego z powodu, że jeżeli charakterystyka działalności scenicznej da się zawrzeć w kilku ryśach — to praca autorska, na polu dramatu dziejowego tymbardziej, nie podaje się za przedmiot do pobieżnej wzmianki. Dlatego też kończymy na zapewnieniu was, szanowni czytelnicy, że autor *Mazura czarta*, pomimo tu i owdzie głoszonych zdań ujemnych o jego działalności pisarskiej, zasługuje na troskliwy i bardzo sumienny rozbiór, a prace jego, mimo usterek i wad, są pracami bardzo poważnymi... Stanowisko Rapackiego na scenie jest pierwszorzędne — stanowisko zaś jego w literaturze jest już *wydatne*... Niemało to, po kilku latach pracy, i niemało, jako zadatek długiej jeszcze przed artystą-pisarzem przyszłości.

St. M. Rz.

ETAP.

(Z COPPÉGO).

Minęła pora błogich czasów na kwaterze,
Pora załotów, biesiad i gawęd wesoła;
Dalej za brzoń rekrucie, trąbka w pochód woła:
Baczność! Dwójkami w prawo! Pułk zmienia swe leże!

Droga wasza daleka i twarda żołnie ze!
Szlusuj, choć mdleją nogi, choć znój ciecze z czoła,
A niechaj ci gospody nie pachnie jemiola:
Dachem twym gołe niebo — łozem darnie świeże!

Jestem z pułku niedoli. Kto wie jak daleki
Cel mojego pochodu: mogiła? — Wśród spieki
Krocząc upadam z trudu, głodu i pragnienia!

Idę — za całą ulgę mojego cierpienia
Mogąc tylko przerzucić boleść co mnie łamie,
Jak piechur swój karabin — z ramienia na ramię!

Włodzimierz Zagórski.

LEKCJA MAŁŻEŃSKA.

NOVELKA

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

I.

Na scenie przedstawiano Fru-fru.

Drugie takie samo Fru-fru siedziało w łoży pierwszego piętra i poruszając więcej z przyzwyczajenia jak z potrzeby misternie rzeźbionym wachlarzykiem z kości słoniowej, poglądało rozszargnione to na widzów to na scenę.

Fru-fru to miało jasne włosy, czesane podług ostatniej mody, na nich błękitną kokardkę, która ładząco udawała motylka, co na chwilę przysiadł i rozłożył drzące skrzydełka pod promieniami gazowego słońca. Motylek ten miał dwa brylantowe oczka. Twarzyczka Fru-fru była świeżutka, drobna, przypominała trochę piękność z dzienników mód, ale pełna życia i wdzięku. Ruchy jej były

zgrabne, a cała figurka wydawała się tak powiewna, le-
dziutka, że zdawało się dosyć dmuchnąć, aby uniosła się
w górę, jak piórko kolibra.

Obok niej siedziała jakaś niepierwszej już młodości
panna, którą zabrano widocznie do teatru dla towarzystwa,
lub dla zapelnienia miejsca. Widać było po jej minie, że
to była przystawka, na którą Fru-fru nie wiele zwracało
uwagi. Za to parter obserwował ją i robił złośliwe uwagi
nad toaletą i fryzurą tej „wypożyczonj“ cioci, jak ją na-
zywano. Rzeczywiście miała wiele podobieństwa do wy-
najętego mebla, odstawała rażąco od swj towarzyski
nie tylko wiekiem i brzydota, ale pretensjonalną, para-
fijańską elegancją. Wyglądała jak wystawa norymberg-
skiego sklepiku; wszystkiego miała po trosze, a wszystko
w najgorszym gatunku. Na parterze utrzymywano, że ją
posadzono w łoży dla odciążenia wzroków od ruchliwej
a powabnej blondynki, inni byli tego zdania, że dla uwy-
datnienia kontrastu. Bądź jak bądź i jedni i drudzy nie-
odwracali oczów od tej łoży i lornetami wszelkiego kalibru
mierzyli w nią. Zapytywano się wzajem: kto to? ale nikt
nie umiał tego powiedzieć; niektórzy z dwóznacznym uśmie-
chem robili miny, pozwalające się wszystkiego domyślać.
Wszyscy zgadzali się na to że czupiradło było paradne
w swoim rodzaju, a Fru-fru przesłizne.

Kobieta, która budziła między publicznością tak żywe
zajęcie zdawała się nie być tém ani zdziwioną ani zmie-
szaną. Spojrzenia jej ciemnych oczów obojętnie i swobo-
dnie prześlizgiwały się po twarzach patrzących; czasami
przyłożyła lornetkę do oczów, czasami dzieliła się ze swoją
towarzyską jakimś postrzeżeniem, zaprawne uśmiechem
wesołym, to zanurzała lekko zadarty nos w bukicie,
albo drobnymi paluszkami dobywała z torebki cukierki
i z nieopisanym wdziękiem wkładała je między drobne,
perelkowe ząbki. Wszystko to czyniła z taką dzieciinną
swobodą, tak mało robiła sobie z całego otoczenia, z cie-
kawości i obserwacji, że wyglądało to albo na bardzo
wyrafinowaną kokietyeryję, albo na wielką naturalność, peł-
ną wrodzonego wdzięku i dystynkcji.

Kobiety przypuszczały to pierwsze, mężczyźni prze-
ważnie skłaniali się do ostatniego przypuszczenia.

Wśród tego bezcelowego błędzenia po scenie i po
widzaczach oczy naszej pięknej nieznajomej zatrzymały się
naraż u wejścia do parteru.

Na zieloném tle portyjery stał tam jakiś brunet twa-
rzy bladój, przejrzystej, delikatnej, przy której czarne jego
wąsiki, czarna hiszpanka, czarne powłóczyście oczy z dłu-
giemi rzęsami i najczarniejsze włosy jeszcze czarniej wy-
glądały — jak znowu bladeść jego gorsu, spiętego czarne-
mi guziczkami i białych mankietów, jeszcze efektowniej
występowała w obec czarnego fraka, czarnego krawata,
czarnej kamizelki i innych tym podobnych czarności. Całe
to zjawisko wyglądało jak portret jakiegoś włoskiego mu-
zyka, namalowany dopiero tuszem na białym kartonie;
składał się tylko z dwóch kolorów, nadzwyczaj białego
i niesłychanie czarnego. Tylko na palcu lewej ręki, którą
wszedłszy do sali gładził włosy i porządkował zakręty
aksamitnego wąsika, widać było złoty pierścionek z turku-
sikiem.

Czarno biały ów jegomość, przebiegłszy oczami łożę,
zatrzymał je także na pięknej nieznajomej i zdawało się,
iż oboje w tej chwili drgnęli. Oprócz tego twarz pięknej
nieznajomej silnie się zarumieniła, jak róża w obec wscho-
dzącego słońca. Nikomu z obecnych na myśl nie przy-
szło, że ten jegomość, mający wszystkie warunki do re-
prezentowania ponurj nocy, robił w tej chwili wrażenie
wschodzącego słońca. Słońce to po kilku schodkach zsu-
nęło się między krzesła i zginęło wśród siedzących. Za
chwilę błysnęło znowu bladą twarzą i białym półkoszul-
kiem zwrócone w stronę łoży, w melancholicznych oczach
błysnęło coś nakształt uśmiechu, radości, zachwyty; wszyst-
ko to ów nieznajomy wpakował w dużą, także czarną lor-
netę, i wymierzył prosto do łoży Fru-fru. Niekiedy znowu
ona przykładała małą, białą lornetę do oczów, a wtedy on
odkrywał blade lica i z bohaterską odwagą narażał je na
niebezpieczne pociski.

Przeszło pół czwartego aktu trwało to wzajemne

ostrzeliwanie się, gdy naraz czarno-biały rycerz kierując
znowu lufy swojej lornety w stronę łoży, dostrzegł za głó-
wą pięknej nieznajomej poważną twarz trochę lysą, w zło-
tych okularach i angielskich faworytach. Pojawienie się
tej twarzy widocznie musiało osłabić odwagę bruneta, bo
złożył broń a potem zwrócił ją już na scenę, w którą bez
przerwy wpatrywał się do końca aktu.

Napróżno dama posyłała mu wyzywające spojrzenia
to gołemi, to uzbrojonymi w szkła oczami, rzuciła się nie-
spokojnie, krzakała nawet parę razy znacząco dla zwróce-
nia jego uwagi, brunet tak zaciekle zajęty był sztuką, że
niewidział ani słyszał tego, a przynajmniej nie dał znać
po sobie tego. A gdy nawet po spuszczeniu kurtyny nie
podniósł oczów w górę, ale je utopił w głębi swego czar-
nego kapelusza, dama tozdrażniona tem widocznie, z ge-
stem zniecierpliwienia rzuciła się na krzesła i odwróciła
na bok.

W tej pozycji dopiero spostrzegła obecność twarzy
w złotych okularach i angielskich faworytach — i to uspo-
koilo jej niecierpliwosć.

— A, jesteś tu — rzekła z obojętnem zadziwieniem.

— Jestem od początku aktu.

— Nie słyszałam cię wcale wchodzącego.

— Nic dziwnego. Uważałem, że byłaś zajęta sztuką
i nie chciałem przerywać ci.

Słowa te powiedział z łagodną powagą, która była
całkiem w zgodzie z jego twarzą dystygowaną i szlachetną.

— I jakże ci się sztuka podoba? — spytał przysiadają-
c się bliżej.

— A, nie zła — odezwała się roztargniona. W tonie
jej głosu znać było, że nie myślała o tem, co mówiła.

— I jakże uważasz postępek Fru-fru?

— Jaki postępek?

— No, jej wyjazd z domu, opuszczenie męża i dziecka.

— Nie uważałam tej sceny.

— A o czemże ty dziecko myślałaś, jeżeli nie słysza-
łaś tej sceny? — spytał mąż z łagodnym uśmiechem — to
przecież najpoważniejsza scena.

— Trudno mieć ciągle wyteżoną uwagę. Przychodzę
do teatru, żeby się rozerwać, a nie uczyć.

— Mąż chciał coś powiedzieć, gdy nagle wystawa
norymbergska poruszyła się żywo na krzesła, przy czem
całe muzeum wstążek, kokard, paciorków, kolczyków
i przeróżnych świecideł, poruszyło się z szelestem, a wy-
stawa przemówiła do Fru-fru.

— A co, niemówiłam, *on* jest tu!

— Kto taki? — spytało Fru-fru.

— On Ludwik, ściga nas wszędzie. O! ja miałam
przeczuć, że go niezadługo zobaczę.

— I ja, — rzekł z pewnym naciskiem mąż.

Tylko Fru-fru nic się na to nie odezwało i bawiło się
zawzięcie rozmotaniem węzła we frenzelkach swego szala.

Podniesiono kurtynę. Fru-fru usiłowała słuchać uwa-
żnie. To jednak nie przeszkadzało, aby od czasu do czasu
nie rzucać ukradkiem spojrzenia w stronę, gdzie siedział
brunet. Trzeba się było domyślać, że tam siedzi, bo nie
było widać nic, tylko czarne jego włosy, czarną lornetę
mocno przyłożoną do oczów a wycelowaną na scenę i białą
rękę z turkusowym pierścionkiem wychylającą się z man-
kieta nieposzlakowanej białości.

To jego mocne zajęcie się sceną musiało dać dobry
przykład roztargnionemu Fru-fru, bo także tam skierowała
swoją uwagę i usiłowała siedzieć spokojnie i słuchać. Kto-
by jednak był ją uważniej w tej chwili obserwował, byłby
w tém pozornym skupieniu uwagi widział chmurkę niezad-
dolenia, kapryśne zadąsanie się i irytację.

Nie doczekała do połowy aktu i zwracając się do mę-
ża rzekła znudzona:

— Chodźmy już.

— Nie ciekawaś końca?

— Koniec we wszystkich sztukach jednaki — ona
pójdzie za niego.

— Złe się domyślasz, on ją odepchnie, gdy będzie
chciała wrócić.

— Tem gorzej, nie cierpię sztuk, które się kończą
smutnie.

Zarzuciła biały atlasowy szalik na ramiona i posłała jeszcze raz spojrzenie gniewne do krzesel do czarnych włosów, które zdawały się zrosłe z lornetą — i wyszła pierwsza z łoży.

Kiedy właściciel czarnych włosów zdecydował się podnieść oczy w górę, łoża była już pustą. To go poruszyło, wybiegł prędko do foyer i czekał przy wyjściu z łoż. Cekał blisko kwadrans na próżno.

II.

W oknie hotelu stało Fru-fru, mazało bezwiednie paluszkami po szybach i patrzyło na ulicę wzrokiem, który nic nie widzi, prócz własnych myśli.

Mąż wszedłszy w tej chwili do pokoju, zbliżył się do niej po cichu i spytał łagodnie:

— O czym?

Pomimo, że wypowiedział te słowa cicho, delikatnie, by jej nie przestraszyć, wzdrygnęła się cała i obróciła, a spostrzegłszy męża zachmurzyła się i rzekła gniewnie:

— Co za niedelikatność, tak mnie przestraszyć.

— Byłaś więc tak mocno zamyśloną, czy zapatrzoną? Cóż cię tak zajęło?

— Cóżby mnie zająć mogło? Zamyśliłam się, bo sama już niewiem, co robić z nudów w tej mieścinie. Ciekawa rzecz, dla czego wyjechalibyśmy z Wiednia.

— Boś także narzekła, że się nudzisz.

— Ale nie tak, jak tu, Wiedeń przecież stokroć zabawniejszy.

— To wracajmy do Wiednia.

— Jakto? Chcesz wracać?

— Choćby dziś.

— Wieczna włóczęga. Wolę już tu zostać i nudzić się; jak wracać znowu.

— Więc zostańmy.

Położył kapelusz na stole i wziął w rękę gazetę.

— Zostajesz w domu? — spytała żona.

— A ty chciałabyś może wyjechać?

— Ja nie, ale ty. Czas tak piękny.

— To prawda. Toby cię także rozerwało. Więc chodźmy.

— Ależ ja nie pójdę nigdzie — odrzekła niecierpliwie. — Jestem cierpiąca i potrzebuję być samą.

— W takim razie przejdę do pokoju Miñci.

Chciał już odejść, gdy wszedł służący hotelowy i oddał bilet.

— O! Ludwik — rzekł przeczytawszy bilet i spojrzawszy na żonę powtórzył głośnie — Ludwik.

— Ten pan dowiadyuje się, czy może wejść — rzekł służący.

— Prosić, odezwało się żywo Fru-fru.

— Przyjmujesz? — spytał mąż z wielkiem zdziwieniem po odejściu służącego.

— Dla czegoż miałabym nieprzyjąć? — odrzekła niepatrząc mu w oczy.

— Wszak chciałaś być samą?

— Prawda, zapomniałam o tém w pierwszej chwili. Teraz niemożna już cofać się. Cóżby sobie pomyślał.

— Przyznam ci się — rzekł mąż siadając — że mnieby tam niewiele obeszło, coby sobie pomyślał. Ten pan Ludwik zaczyna być już trochę natrętnym. Czy uważasz, że od samego Medyolanu formalnie ściga nas jak cień. My w Wenecyi, on w Wenecyi, my do Wiednia i on za kilka dni tam się zjawia, i tu zaledwie przybyliśmy jest prawie tuż za nami. To zaczyna być nudne. Nie umiem sobie wytłómaczyć tej zgodności jego planów podróży z naszym.

— Wszak ci to sam dał do poznania. Myśli starać się o Miñcie.

— Czemuż się nie oświadcza? Jestem pewny, że Miñcia z ochotą rzekła by się swego długiego panieństwa na rzecz takiego kawalera.

— Podobno jego interesa familijne niepozwalają mu jeszcze zrobić stanowczego kroku.

W tej chwili wszedł anonsowany pan Ludwik, znowu czarno-biały, jak wczoraj w teatrze. Być może, iż nie

bardzo był przygotowany na zastanie męża, bo się zmieształ nieco i zaczął usprawiedliwiać swoją wizytę, — a że brak mu było argumentów, któreby przekonały męża i wygładziły jego chmurnie sfałdowane czoło, więc zapytał o pannę Miñę, jej zdrowie.

— Może byś powiedział Miñci, że pan Ludwik przyszedł, — rzekła żona.

Mąż wstał, poszedł ku drzwiom drugiego pokoju.

W tej chwili Fru fru i brunet skrzyżowali ze sobą porozumiewające spojrzenie. On wyjął jakąś białą karteczkę i korzystając z chwilowego oddalenia się męża chciał jej rzucić; gdy wtem mąż na progu zwrócił się i schwycił spojrzeniem niespokojny ruch gościa.

Gość starał się ruch ten zamaskować kierując rękę wyciągniętą wraz z kartką ku głowie, niby dla poprawienia włosów. Był pewnym, że mu się udało tym manewrem oszukać męża, bo ten całkiem spokojnie się zachował, tylko nie poszedł już do pokoju Miñci, jeno przez drzwi zawołał na nią, a potem wrócił na dawne miejsce.

Mina zajęta była w swoim pokoju stawianiem pasyjanasa. Było to jej ulubione zajęcie w czasie podróży i wszystkie główne miasta, które zwiedzili, zostawiły jej tylko takie pamiątki, gdzie i które pasyjanse najlepiej jej wychodziły. Dzisiejszy dzień był pod tym względem bardzo szczęśliwy. To też niechętnie porzuciła karty, aby iść spytać się kuzynka, czego sobie od niej życzy. Ale zaledwie otworzyła drzwi i ujrzała czarno-białego waleta, cofnęła się prędko z wykrzykiem w którym malowała się żywa radość i panięskie zażenowanie.

Zażenowała się za swój ubiór skromny, w którym prawdę powiedziawszy wyglądała jeszcze wcale znośnie i pobiegła coperędzej zeszpeci się — a raczej wystroić. Walet żywy składający się z białego i czarnego koloru wymagał innego stroju, niż walet malowany jaskrawymi farbami w czeskiej jakiejś fabryce kart. Więc panna Mina dobyte z podróznego kufra cały arsenał przyborów, obliczonych na zdobycie młodzieńczego serca: puszki z różem, puszki z pudrem, jakieś szminki, mastyksy, wody wszelakiej barwy i różnych zapachów, armiję szpilek, roje kokard, kołnierzyków, wstążek i inne przybory toaletowe, których tu ze względów dyskretyj winnej płci pięknej, do której panna Mina miała pretensyje liczyć się zawsze, nie wymienię. Za pomocą tych wszystkich akcesoryj panna dość znośna, mimo spóźnionego wieku, przemieniała się powoli w straszidło.

A tymczasem kuzynek jej bawił uparcie waleta i nie odstępował go ani na chwilę, pomimo, że żona kilka razy próbowała skłonić go do wyjścia różnymi żadaniami. To chciała się dowiedzieć, co jutro w teatrze, to znowu prosiła go, aby się dowiedział, co za dama stoi w sąsiedztwie, która ją tak w nocy zaintrygowała i zniecierpliwiała niespokojnym zachowaniem się, to życzyła sobie, by jej kupił małego pincerka, którego widziała wczoraj u portiera.

Mąż załatwiał te wszystkie życzenia żony za pomocą dzwonka i służby hotelowej, nieruszając się z pokoju i nie przerywając wcale żywój z gościem rozmowy.

Dopiero za wejściem wyfiokowanej kuzynki ustąpił jej swego miejsca, a sam zbliżył się do żony nadąsanój i czegoś mocno zniecierpliwionój. Zrobił jej po cichu pół głosem uwagę, że możeby należało zostawić młodych samych dla bliższego porozumienia się i swobodniejszej wymiany uczuć; ale nie zgodziła się na to, uważając podobne postąpienie za nieprzyzwojte i bez taktu.

Po jakimś czasie zaproponowała sama spacer. Prześliczny dzień zachęcał bardzo do tego. Wszyscy się zgodzili. Panna Mina potrzebowała znowu jakiegoś czasu zanim udekorowała swoje wdzięki na publiczny występ, gdzie już nie jeden walet, ale walety różnej barwy i struktury oglądać ją mieli.

Przy wyjściu czarno-biały walet zbliżył się do Fru-fru i podając jej ramię spytał:

— Czy mogę służyć?

Zanim miała czas odpowiedzieć, mąż wyręczył ją i rzekł:

— Może pan będzie łaskaw podać ramię Miñci. My będziemy wam matkować.

CRACOVENSIS.
Powiedział te słowa tonem wesołym, żartobliwym, o który nie można było się obrazić.

Przez cały czas spaceru trzymał się w pewnej odległości od zakochanej pary, jak nazywał Ludwika i Mińcię, i nie dał sposobności Leonowi zbliżenia się do żony.

Nie mógł jednak przeszkodzić, by przy pożegnaniu tenże nie podał jej ręki, a że się to działo w ciemnej sieni, nie mógł także dostrzedz, że biała karteczka dostała się wtedy w drobne rączki Fru-fru. Zauważył tylko gdy wrócili do mieszkania, że była mocno wzruszoną i niezwyyczajnie zarumienioną...

(D. n.)

SZEKSPIR, SZYLLER, GETHE,

NA SCENIE WARSZAWSKIEJ.

Urońmy kilka grubych łez mój czytelniku, nad panem Emilem Deryngiem, zasiadającym obecnie reżyserskie krzesło warszawskiej Melpomeny... urońmy nad nim kilka współczucia łez...

Nieszczęśliwy to człowiek; sieje słodkie nadzieje ziarna a zbierać będzie piołun zawodów. W fatalną widać zamarzywszy chwilę o „Fauście“ i „Dziewicy orleańskiej“ chce te wielkie geniuszów dzieła oblec w ciała na naszych deskach?!

O ślepy, trzydzieści razy ślepy—o niebaczny a w doświadczenie ubogi, o śmiały i hazardu pełen człowieku, czy wiesz ty czem to okupuje się wystawienie tragedji w świątyni sztuki naszego miasteczka?!

Ażaliż niemiałeś przykładu na swym poprzedniku który próżno szamotoł się dniami i miesiącami chcąc wydobyc z pyłu „Makbeta“?...

Wszakżeż sam wznowiając dzieje Julji i Romea, widziałeś jak wielką są właśnie ci przeszkodą, którzy wszelkie przeciwieństwa zwalczać z zaparciem się i poświęceniem powinni.

O! krucha siła śmiertelnika, jak śmiesz stawiać się bogów przepotężnej mocy?

Lecz łzy otarliśmy, powiedzmy krótko o co chodzi. Pan Deryng chce więc wystawić „Fausta“ i „Dziewicę orleańską“. Piękne to — ale... niemożliwe.

I niechaj nam tu nikt ironicznego nie okazuje uśmiechu, niech nikt nie sądzi że żartem chcemy zbywać lub niewiarą zatruwać. Przeciwnie, stoimy przy swoim — pewni bowiem jesteśmy iż wobec dzisiejszych pojęć półbożków (mowa o wielkich naszych artystach) żadna tragedia żadnego choćby najgenialniejszego nieboszczyka, udać się nie może.

Chcecie dowodu. Jest „Romeo“. Wszak to Szekspir panowie... podobno tak... I jak go tu, u nas, w domu, uczczono, jak z nim postąpiono? Co najmniej... niedyskretnie.

Podczas bowiem gdy w całym świecie ceniącym sztukę i piękno, hołdującym geniuszom, pierwszorzędni artyści przyjmują na siebie drogi ciężar tej tragedji, u nas prócz znakomitej pary werońskich kochanków, szasta się po scenie półtuzina patentowanych miernostek, niedojrzałych talencików i t. p. indywiduów niepowołanych i nie wybranych.

A co robią prawdziwi kapłanie, namaszczeni, nie farbowani posłannicy?... Cóżby mieli robić — nic... czekają nowej roli w farsie, w sensacyjnym dramacie francuzkiej fabryki lub w oryginalnej komedji, która często ma charakter *ad personam* aktora lepione...

Prawdziwi kapłanie nie łączą swych pieśni z chórem, oni pieść chcą sami, jedni, każdy osobno, na ton inny, im głośniejszy, jaskrawiejszy, tem lepiej, ludek się ucieszy...

Prawdziwi kapłanie nie mogą być *ogonami* — jak się

raz p. Bogusławski w swój naszpikowanej prawdą recenzji wyraził — ani też nie mogą stanowić *przystawki*.

Prawdziwi kapłanie, augurowie nasi, wyrobili sobie od dawna pewnego rodzaju monopol zajęć w uroczystościach scenicznych; nie stawaj im w drodze, bo cię zjedzą... Prawdziwi kapłanie mają swoje, własne o sztuce pojęcia a zagraniczna praktyka, zwyczajnie z za gór, nic ich nie obchodzi — kto zresztą wie czy lepiej za morzem?

Za morzem? Hm! to rzeczywiście trochę trudniej wiedzieć; ale można oto poinformować się nieco co tam słychać, bliżej jak np. na scenach francuzkich i niemieckich, na tych samych co to — jak wyżej powiedzieliśmy — do piękna się modlą.

Weźmy Niemcy — Wiedeń. Prawie jednocześnie grano u nas i tam „Romeo“. Tam od pierwszej do ostatniej roli mistrze, u nas prócz Deryng, Tatarkiewicza, Szymanowskiego i Chomińskiego, jacyś Krupińscy, Kruszewscy, Siemianowscy, Boczkowscy, słowem obywatele nieokreślonego zajęcia.

Jak wam się zdaje, kto grał w nadwornym teatrze aptekarza, aptekarza u nas uosobionego przez p. Dąbrowskiego, aktora co więcej nad dwadzieścia słów nigdy więcej litery na scenie nie powiedział.

Któż go grał tego lichego aptekarza, kilkuwierszowy charakter, ogon nad ogonami, to zero?... Grał go Lewiński.

Czyż mówić mam co to jest Lewiński? Czy przypominać iż to dziś pierwszy tragik niemiecki, a może i pierwszy w świecie, jedyny i ostatni rywal Dawizona, artysta okryty sławą, ozdobiony mnóstwem oznak honorowych?

Lewiński gra aptekarza, wypowiada kilkanaście wyrazów, jest *przystawką* dla Romea, w scenie niezmierniej doniosłości, wymagającej harmonii w otoczeniu.

Lewińskiemu powierzyła rolę tę świadoma swego zadania reżyseryja, mocna w swém postanowieniu bo dbała o rzecz, a gdyby nawet tego nie uczyniła, jesteśmy przekonani iż artysta tak jak on kochający sztukę, sam by się podjął tej pracy *wdzięcznej*.

Tam Eskalus dostaje się artyście, Monteki toż samo; tam Tybalt nie przypomina uciesznej figury z kart a Benwolio cyruliczka, tam pani Kapulet jest panią Kapulet a nie Janową ze Starego Miasta, ojciec Laurenty mówi złotemi słowy a nie śmiesz tak jak pan Krogulski, mamka jest Szekspirowską mamką w niczem niepodobną do panny Micińskiej.

Tak tam...

A u nas?... możeby także podobnie być mogło, gdyby panowie Rapacki, Ostrowski, Leszczyński, (prezencja do szekspirowskich typów aż miło) a nawet od nich starsi, nie gnuśnieli wówczas u ognisk rodzinnych w szlafrokach, gdy się na scenie szekspirowski dramat rozgrywa — gdyby panie Niewiarowska, Ostrowska zechciały miłą w zaciszu domowem robotę pończoszek porzucić a wzięły się raczej do ról stariej Kapelutowej lub Marty.

Generalskie szlify nie dają przywileju do staczania tylko wielkich bitew i planowania olbrzymich kampanji — leż bratku w tyralierkę gdy tego potrzeba.

— Jesteś artystą — służ więc sztuce duszą i ciałem, stłum rozdrażnioną ambicyjkę, fałszywe kaprysy pozornie obrażonej godności, zabij swoje „ja“ a uderzę czołem przed tobą!

Tak mówił pewien „art. dram.“ do swego młodego kolegi, choć sam na drugi dzień nie przyjął podrzędniejszej przysianej mu roli...

Pan Bogusławski w całym *inteligentnym* składzie żeńskim warszawskiego dramatu nie mógł ani jednej nakłonić „artystki“ do odegrania czarownicy w „Makbecie“, a potrzeba ich trzech! *Horror! horror!*

Czyż w obec tych smutnych, bardzo smutnych okoliczności — a niestety jak słońce Boże istotnych — nie płakać nam nad panem Deryngiem zmuszonym do ćwiczenia rekrutów dla boju, wymagającego ostrzelanych żołnierzy?

Czyż wreszcie nie płakać nam nad całością dzieł wiel-

kich wypisanych u góry mistrzów, niekiedy najciemniejszy kąt prowincjonalnego sceniska przypominającą?

Oj, płakać, płakać dotąd, dopóki artyści nasi, ci od „arkuszowych ról“ nie zrozumieją obowiązków swego zawodu, dokąd nie otrząsną się z fatalnego przesądu niegodnego dusz prawdziwie artystycznych, dokąd nie wkroczą na drogę pracy dla mniej indywidualnych celów.

P. S. Prawda pewno klucę będzie... wolelibyśmy napisane odwołać.

tc.

MOSENTHAL.

(Koresp. z Wiednia).

Smierć lubi silne efekta; kończy ona akt z błyskawiczną szybkością, zrywa nitkę intrygi bez względu na wyteżoną ciekawość widzów, nie pozwalając nieraz dojrzeć akcji zupełnie.

Tak właśnie postąpiła dnia 17 lutego unosząc ze sceny życia i rzucając za kulisy wieczności człowieka pełnego zasług, który swego ostatniego słowa nie wypowiedział.

Tam nie dojdzie uszu jego żaden oklask, i nic go już nie zbudzi — Mosenthal zasnął na wieki.

Zgon ten zasmucił szczerze wszystkich Niemców. Piękny wiosenny prawdziwie dzień, stał się dla nich chmurną dobą, kirem powleczoną. I choć już spoczywa cicho pod mogiłą z kwieciami prawie usypaną, nazwisko jego z ust nie schodzi.

Salomon Herman Mosenthal, urodził się w roku 1821 w Kassel, skąd w młodym wyruszył wieku i przybył do Austrii. Tu przyjęto go najgościnniej — Wiedeń otworzył mu swoje serce i ztąd dla nowej ojczyzny wzrosła u Mosenthala wielka miłość i gorące przywiązanie. Został Austryjakiem duszą i ciałem — wywdzięczając się krajowi, który mu dał kąt cichy i kawał chleba. Z pomiędzy wielu obywatelskich jego zasług tę cnotę głównie podnieść należy.

W tym tedy ukochanym przez się Wiedniu, Mosenthal rozpoczął swój zawód dramatopisarski. A krytyka nie była dlań pobłażliwą; szczególnie w ostatnich pięciu latach naszarpano jego dobrze zarobione imię i wartość utworów niżano najniesłuszniej.

Mówimy w ostatnich pięciu latach; od téj bowiem porę zaczęto w Wiedniu rzucać się na osobistości. *Lesbar und pikant* — oto hasło dziennikarskich benjaminków, nie wzbraniające im nieraz pióra maczać w krwi serdecznej.

Lecz starzy krytycy, taki Laube np. wysoko stawiali Mosenthala i strzegli jego sławy; Mosenthal bowiem rzeczywiście ma niezmierne dla sceny niemieckiej zasługi.

Jako poeta dramatyczny Mosenthal znał doskonale siłę swoją, i używał jej z wielką wprawą i zręcznością. Jego „Deborah“ i „Sonnwendhof“ plody prawdziwie poetyckiego organizmu, są rzetelną ozdobą niemieckiej literatury dramatycznej. Po za niemi, jako najpopularniejszymi, kryje się cały szereg utworów podsycających repertuar scen niemieckich, mocno zwykle francuzczyzną łatany.

Niechaj ten i ów zarzuca mu melodramatycznego żywiołu zbyteczność, niedyskretne korzystanie ze znajomości efektów scenicznych; lecz sztuki Mosenthala, wyrabiały publiczność i dawały jej zdrową strawę wtedy gdy autorów w Niemczech na palcach u jednej ręki policzyć było można.

Stworzył on prawie ludowy dramat, o szlachetnej barwie, dziś tak fatalnie do tendencyjności nagięty.

Oto spis celniejszych dzieł jego w przeciągu dwudziestu i pięciu lat na nadwornej scenie wiedeńskiej przedstawionych: „Cecylia Albano“, „Sonnwendhof“ (dram. spolszczony przez Błotnickiego p. t. „Zagroda Sobkowa“ u nas bardzo dobrze przyjmowany), „Düweke“, „Niemieccy komedjanci“, „Niemieckie życie poetów“, „Pietra“, „Więski nauczyciel“, „Gabriela Precy“, „Schulz von Altenbühren“, „Deborah“ (jeden z najpopularniejszych w świecie dramatów u nas także przedstawiony z panią Rakiewiczową w tytułowej roli), „Izabela Orsini“ (rzecz tłumaczona na polskie przez W. M. Olendzkiego) i „Syrena“.

Najwięcej zjednała Mosenthalowi rozgłosu „Deborah“. Grano ją we wszystkich prawie językach europejskich; Ristori odtwarzała ją świetnie na scenach włoskich, budząc postacią przepiękną Izraela córę nieklamany entuzjazm.

Poeta poruszył bowiem w tym dramacie społeczny nerw, który jątrzył się lat setki a poruszył tak silnie iż ten zadrzał na całym świecie.

Mosenthal wybornym też jest nowelistą; jego szkice z życia żydów pełne są prawdy, humoru i uczucia.

Mosenthal też był librecistą. Namiętna miłość muzyki skłoniła go do napisania kilkadziesiątu tekstów, z pomiędzy których połowa ma nastrój prawdziwie poetyczny i rzetelne dać może kompozytorowi natchnienie.

Był w téj skwapliwości gotowania tekstów podobny do Scribego który piękną swoją willę pod Paryżem zdobył librettami bardziej podówczas pożądanymi, aniżeli inne dramatyczne produkcje.

I Mosenthal miał też swoje tusculum, na przedmieściu Wiednia; marzył on tam samotną i cichą starość, tu zasnąć chciał cicho z nadejściem ostatniego wieczora. Noc zaskoczyła go zawczasem.

Cierpienia nerwów i serca odrywały go od pracy, w której znajdował niewysłowiony powab w odosobnionem swém życiu.

„Był to wierny sługa pana — jak rzekł o nim nad grobem znany pisarz Nordmann — człowiek sprawiedliwy i dzielny, poeta możny i słodki. Ziemia niech mu lekką będzie.“

A. A. Z.

S P O R T.

Hodowla koni. (X) Galicyjskie Towarzystwo chowu koni i wyścigów, ukonstytuowane na nowych sześć lat, tj. do czerwca 1883 roku, odbyło dnia 17 lutego r. b. ogólne zgromadzenie pod przewodnictwem JE. hr. Alfreda Potockiego, Namiestnika Galicyi, i dotychczasowego Prezesa Towarzystwa.

Pod obrady przysły sprawy następujące:

1) Wybór Prezesa, Wiceprezesa i 6 Członków wydziału na następne trzechlecie, tj. do czerwca 1879 r.

Wybrany zostali:

Prezesem J. . Alfred hr. Potocki;
Wiceprezesem W-ny Kazimierz Tuczyński;
Członkami Wydziału: Juliusz hr. Bielski;
Adam bar. Heydel;
W-ny Alfred Mysłowski;
W-ny Kalikst Ochocki;
Stanisław hr. Piniński;
Stefan hr. Zamoyski.

2) Ze względu, że zwołana w maju 1876 r. do Wiednia ankietą dla spraw chowu koni całej monarchii austriacko-węgierskiej uchwalila zasadę, że w Galicyi rząd głównie popierać ma chów koni orientalnych; ta zasada zaś, gdyby była podług uchwały ankiety w życie wprowadzona, zagrażałaby niechybnym upadkiem hodowli koni zostającej w ręku większych właścicieli ziemskich—ogólne zgromadzenie poleca Wydziałowi wybór komisyi z pomiędzy członków Towarzystwa, która ma się zająć wypracowaniem elaboratu, żądającego przynajmniej równouprawnienia krwi angielskiej z wschodnią, pod względem wspierania przez rząd i w ogólnej repartycy stadników rządowych na kraj przypadającej. Elaborat ten za pośrednictwem krajowej komisyi chowu koni przedłożony będzie c. k. Ministerstwu rolnictwa.

3) Na prośbę komitetu wystawy krajowej rolniczej i przemysłowej, mającej się odbyć we Lwowie w jesieni r. b.,—by wyścigi lwowskie zamiast w czerwcu, odbyły się we wrześniu—uchwalilo ogólne zgromadzenie odpowiedzieć, że odłożenie zwykłych wyścigów lwowskich z czerwca na wrzesień jest niepodobnem, głównie ze względu na interesa właścicieli koni wyścigowych. Jeśli jednak komitet wystawy zechce wziąć inicjatywę w urządzenie drugich wyścigów jesiennych we Lwowie, i albo z własnych funduszy zapewni nagrody, albo o takowe wystara się od rządu lub od miasta Lwowa—wydział Towarzystwa upoważniony będzie oddać komitetowi do użytku tor wyścigowy i potrzebne do urządzenia wyścigów przybory, wyścigi urządzić, oraz ze swej strony dać na te wyścigi dwie nagrody przeznaczone na tory prowincjonalne.

4) Sprawozdanie komisyi rewizyjnej statutów Towarzystwa.—Po szczegółowej dyskusyi ogólne zgromadzenie przyjęło z małemi zmianami projekt komisyi rewizyjnej i poleciło wydziałowi przedłożenie nowych statutów Namiestnictwu dla uzyskania zatwierdzenia rządowego.

Stadnina książąt Sanguszków.

(ciąg dalszy).

Książę Eustachy Sanguszko był tak zachwycony i szczęśliwy z posiadania tych koni, iż w korespondencyach swoich nietylko, że wspomina o nich, lecz opisuje wypadki z podróży Moszyńskiego i zdarzenia jakie miały miejsce przy kupnie koni w pustyni arabskiej.

Moszyński spełnił dobrze włożony na siebie obowiązek; pomagał mu radą Anglik, Rawson, pierwszy znawca koni arabskich, osiadły w Alepie, ożeniony z Arabką; to też konie przez Moszyńskiego sprowadzone z pustyni, przyczyniły się niewątpliwie do udoskonalenia i uszlachetnienia stadnin książąt Sanguszków, i to w takim czasie, kiedy w całej Europie na myśl nikomu nie przyszło przedsięwzięcie wyprawy pełnej niebezpieczeństw po konie do Arabii.

W pustyni arabskiej i dziś jeszcze znajdują się najwyższe typy doskonałości koni rasy arabskiej; lecz w wieku naszym idącym z szybkością pary i elektryczności, nikt nie ma dość wolnego czasu, by lat parę poświęcił na odszukanie znakomitych koni pustyni, jak to zrobili Burski i Moszyński.

Powyższe szczegóły dowodzą, z jak wielkiem zamiłowaniem rodzina książąt Sanguszków od dawna zajmowała się wychowaniem koni arabskich, i że staraniem aż czterech pokoleń, podjęte zabiegi, najświetniejszymi rezultatami uwieńczone zostały. Dowodzi to również niezwykłego amatorstwa najszlachetniejszego zwierzęcia, jakim jest koń, nadzwyczajnej wytrwałości w dopięciu zamierzonego celu, którym to celem było i jest hodowanie konia najszlachetniejszej i najczystszej krwi arabskiej,—niekrepowania się największymi nawet wydatkami na zakupienie reproduktorów i matek potrzebnych do przeprowadzenia pierwotnej praojcow i swojej obecnie idei ciągłego uszlachetniania koni, znajomości rzeczy i nadzwyczajnej rutyny w hodowli.

Jak tylko otrzymamy od ks. Romana Sanguszki starszego, bliższe i detaliczne wiadomości, co do obecnego stanu stadnin własnością Jego Książęcej Mości będących, nieomieszkamy takowych w najbliższych numerach pisma naszego ogłosić.

— Zarząd Stada Koni w Łosiu, podaje do wiadomości, że od 1-go maja do 15-go czerwca r. b. w tutejszym stadzie będą pokrywać klacze następujące ogiery:

1) Neptunus skarogniady peł. krwi ang. sprowadzony z Anglii 1872 urodzony tamże 1859 r., po ogierze Weatherbit po Schet Anchor i klaczy Athene Pallas po Airich Berdcatcher: klacze tylko pół krwi po rs. 120 i rs. 3 dla służby.

2) Y. Eclips peł. krwi ang. gniady, urodzony w tutejszym stadzie 1869 r. po og. Tordesillas po og. Touchton i kl. Coloquent po Petto, ze stada hr. Benard; klacze pełnej krwi po rs. 75, a pół krwi po rs. 40, dla służby po rs. 2. Ogier ten na specjalnej wystawie koni w Moskwie 1875 r. otrzymał rs. 700 nagrody.

Ogier Neptunus po skończonym sezonie stanówki, będzie do sprzedania za 2,500 rs. Więcej szczegółowy rodowód można znaleźć w „Gen. St. B. Vol. IX. page 19.

Wyścigi osłów. W dniu 12 lutego r. b. odbyły się w Nicei w obec tłumnie zebranej publiczności zapelniającej chodniki, balkony i okna na angielskiej promenadzie wyścigi na osłach. Pierwszą nagrodę w wyścigu du Var bez przeszkód, i pierwszą nagrodę w wyścigu du Paillon z przeszkodami, zdobył ks. Czetwertyński na osła „Fine Champagne“ zwyciężając osła „Bastringue“ jeźdzonego przez hr. Gessler. Nagrodę w wyścigu de la Consolation, zdobył ks. de Rohan, który dobrze zasłużył się na takową; sam albowiem przez kilka dni zajmował się trenowaniem osła.

Miscelanea. W tych czasach przeniósł się do wieczności jeden z najświetniejszych sportsmanów angielskich, p. M. Merry, zostawiając ku pociesze swej wdowy tylko 40,000,000 franków majątku. Pan Merry, właściciel wielkich kopalń rudy żelaznej w Szkocyi, członek izby niższej w parlamencie, znanym był powszechnie więcej jako posiadacz stajni, której wychowawcy wygrali dwa razy wielkie Derby i le Saint-Léger, nie licząc wielu pomniejszych wyścigów, aniżeli jako przemysłowiec, lub rzecznik parlamentarny. Obliczono, że w ciągu lat 50-tu stajnia p. Merry przyniosła mu okrągłą cyfrę 240,000 funtów szterlingów, czyli 6,000,000 franków.

— W operze londyńskiej, ku wygodzie publiczności, miejscowi odwzierni obowiązani są wywoływać głośno nazwiska tych osób, których ekwipaże zajęły pod przedsiębierstwo po skończonym przedstawieniu. Praktyczny ten zwyczaj niemało przyczynia się do szybkiego wykspedywania oczekującej w przedsiębierstwach publiczności, i dla tego godzien jest nasładowania, mianowicie u nas, gdzie niezmiernie przeciągi powietrza czuć się mocno dają wszystkim na swe ekwipaże wyczekującym.

— Nowego rodzaju bilety wizytowe wchodzi bardzo w modę; są to bilety odznaczone kolorami żokiejskich kurtek na wyścigach używanych, oraz czapek i rękawów, które to kolory właściciele koni wyścigowych dla odznaczenia swych rumaków raz na zawsze sobie obrali. Pomiędzy sportsmanami używającymi wzmiankowanych biletów wizytowych, wymieniają jako pierwszych pp. Rotschild, de la Grange, Daru, Lefèvre, Délamarre, Delâtre, d'Arenberg, Henessy i wielu innych.

— Wiadomo jak wielką rolę odgrywają kwiaty naturalne nietylko w mieszkaniach, ale i w damskich strojach. Otóż niektóre damy znane z wykwintnego gustu, używają kwiatów jako wachlarzy; a to w ten sposób, że do wachlarza formy okrągłej wpięte są kwiaty naturalne, które zastępując najwyborniej bukię, służą zarazem do przyjemnego i pachnącego ochładzania się. Nowość ta czysto paryzkiego pomysłu niezawodnie rozpowszechni się prędko; mianowicie zaś w Anglii, Włoszech, Nicei, a nawet i w Ameryce, gdzie kwiaty w wielkiej obfitości w powszechnym są użyciu. Wachlarz taki nosi miano: éventail-bouquet.

High life. Przybyli do Warszawy: Ordynat hr. Tomasz Zamoycki p. Stanisław Rembieliński wł. Krośniewic, i p. Jerzy Fanshave.

P. Bożewski wł. dóbr z Ugoszcza.

P. Zenon Brzozowski wł. dóbr z Ukrainy.

Hr. August Potocki wł. dóbr z Horodna.

P. Wacław Wernicki, dyrektor Banku Dyskontowego z kontraktów kijowskich.

P. Władysław Rembieliński wł. dóbr z Lubelskiego.

Wyjechał: Zygmunt Wielopolski, Margrabia Myszowski, Koniuszy Dworu J. C. M. do Chrobrza.

J. N.

OD REDAKCYI.

„GONIEC TEATRALNY“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie w tej samej formie i w jednakim zakresie. W jednym z następnych numerów rozpoczęta zostanie sensacyjna powieść p. t. „Romans Adeliny Patti.“

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:	
Rocznie	Rs. 10 kop. —
Półrocznie	„ 5 „ —
Kwartalnie	„ 2 „ 50

w Cesarstwie i na prowincyi:	
Rocznie	Rs. 12
Półrocznie	„ 6
Kwartalnie	„ 3

Cena numeru pojedynczego
kop. 20.

Sport łyżwiarski w Łazienkach królewskich.



Muchowski